

Warszawa, dnia 24 Grudnia 1869 / 5 Stycznia 1870 roku.

№ 1. Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie. Cena na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie. Redakcja w Warszawie przy ulicy Solnéj pod **Nr. 715**.—**Skład główny** dla panów Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, gdzie także urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji.—*W Poznaniu* u P. Mieczysława **Leitgebera**, we *Lwowie* u Pana **Karola Wilda.** Rok VI.

TREŚĆ.—Ludziom pracy na rok 1870, wiersz Jana *Prusinowskiego* (z drzeworytem). — Szerzenie ciemnoty.—Włościanie w W. Ks. Poznańskiém, przez Oskara *Kolberga* (z drzeworytem).—MECHANIKA: I. Maszyna parowa (z drzeworytem), przez Jana *Pietraszka*.—Rozmaitości.—Humoreska „Stra-ceni," przez Wołodego *Skibę* i Arkadjusza *Kleta* napisaną.—Myśli i zdania.—Kalendarz ścienny illustrowany na rok 1870.—Pierwszy zeszyt „*Czytelni Domowéj*," zawierający powieść

LUDZIOM PRACY

NA ROK 1870.

Jest straszny olbrzym—
[a czas mu na imię—
Co ciągle plemię rozradza
[olbrzymie—
Co synów swoich dwuna-
[stu—co roku,
Na świat kolejno wysyła z
[pomroku...
A każdy zbrojny chłodem,
[albo skwarem,
Albo ulewy i wichrów nad-
[miarem;
I każdy walczy, zgubnym
[swym żywiołem
Z ludźmi i z ziemią.—Lu-
dzie, z ziemią społem,
Walczą z najezdcą — bój
[trwa dni trzydzieście,
Aż wysilony upada naresz-
[cie—
Lecz ledwie kona, wnet
[drugi nadchodzi,
Z ludźmi i z ziemią nowy
[bój zawodzi—
Walka wre wściekle—i tak
[rok po roku.
Nowi najezdcy wychodzą z
[pomroku.

Ci olbrzymowie—to roku
[miesiące,
Przez które ziemia w krąg
[obiega słońce—
Walczymy z niémi—czas
[się w biegu ściera,
I tyle ofiar gniecie i poże-
[ra....
Lecz ziemia co rok z wio-
[sną się odmładza,
I twory swoje na nowo roz-
[radza—
Tém bardziéj człowiek, si-
[łą ducha zbrojny,



(Rysunek pomysłu Franciszka Tegazzo).

Z olbrzymem czasu mierzy
[się spokojny,
I choć śmiertelny — nad
[mogiłą własną,
Ziemski swój przechód,
[znaczy gwiazdą jasną.

Ta siła ducha—w pracy się
[wyraża,
Przez pracę człowiek na
[nowo się stwarza—
Bez niéj—bezbronny i nie-
[rozwinięty,
Byłby najlichszy pomiędzy
[zwierzęty—
Przez pracę sięga swego
[przeznaczenia,
Stając się królem prawdzi-
[wym stworzenia!

Różne są pracy rodzaje
[trudu—
Jest trud co blaskiem do-
równywa cudu,
Są wielkie prace wybranych
[umysłów,
Nieocenione bogactwem
[pomysłów—
Cześć im i chwała!

Lecz my—co w ukry-
[ciu,
Niesiem na barkach, wpo-
[spolitém życiu,
Dla dobra rodzin naszych,
[trud podjęty—
—Trud nie tak świetny, ale
[równie święty...
Nie krzywdźmy sobie, że
[stoimy nisko,
I cenmy wzniosłe nasze sta-
[nowisko.....
My ludzie—pracy—ciesz-
[my się z swéj doli—
Czy to po siołach pilnujemy
[roli,

Czyli po miastach pracujemy społem,
Koło warsztatów, lub z piórem za stołem,
Albo przy handlu i jakim przemyśle—
Byleśmy tylko wypełniali ściśle
Naszą powinność,—wierzajcie mi proszę,
Że nas najwyższe czekają roskosze...

Wspomnijmy tylko! Jeśli nasza praca
Daje nam przeżyć, lub nawet zbogaca,
Gdy jéj owoców potrzebują ludzie,
Jakże nam miło odpocząć po trudzie,
Jak słodko spędzić kilka słodkich godzin,
Z pokojem duszy—pośród naszych rodzin!
Jak miło uczuć, że nasz trud jedynie
Byt zabezpiecza i nam—i rodzinie,
Że dzieci nasze pójdą naszym torem,
Gdy im uczciwym przyświecimy wzorem!

Ot i wasz śpiewak—spracowane ręce,
Złożył na chwilę—żeby was w piosence
Pozdrowić szczerze, w dzień nowego roku—
I wskazać trud wasz w prawdziwym uroku,
I życzyć pracy—i pracowitości,
Czystego życia—zamożnéj mierności,
Cichego szczęścia przy własném ognisku,
I— czci należnéj na swém stanowisku!

Jan Prusinowski.

SZERZENIE CIEMNOTY.

Jasne oko, zdrowy rozum, czystość pojęcia i pogoda duszy, wynikające ze spełnienia obowiązków—oto przymioty prawdziwie ludzkie, płodne w czyny i możliwe na ziemi szczęście. Widząc otwarte czoło brata, nie zaćmione myślami dzikiemi, czujemy, że stoimy obok najwyższego tworu Bożego—człowieka!

A człowiek ten wiele ma do spełnienia. Jeżeli zechce być dobrym ojcem, mężem, opiekunem, będzie miał o czém myśléć! Dla dziecka potrzeba chleba, dobrego przykładu, nauki, wyprowadzenia go na świat tak, aby nie zginęło. Mąż, jeżeli chce utrzymać wysokie stanowisko przewodnika domu, nie może mieć głowy ciemnéj, zapchanéj widziadłami głupoty. Opiekun sierot powinien wiedzieć, że przyjmuje na siebie odpowiedzialność przed całą ludzkością, za serca, które może zgubić lub wykształcić. Świętą wyrzekł prawdę ktoś z myślących, kiedy wołał: „Dajcie mi w ręce wychowanie, a zmienię postać świata!" Przykład, wychowanie, prowadzenie wrażliwéj natury ludzkiéj przez jasne przestworza poczciwych a zdrowych wyobrażeń, wyradza tę cząstkę ludzi lepszych, zwiększających zastęp cywilizacji.

Niewątpliwie zastęp ten zwiększa się ciagle, idzie daléj w wieczność ze sztandarem światła, na którym napisano ognistemi głoskami Longfellow'a: „excelsior!" A jednak zastęp ten w porównaniu z massami ciemnoty jest jeszcze przerażająco małym! Czyste życie, jasne pojęcia, są tylko jakby oazami wśród pustyni!

Cóż stoi na przeszkodzie tym błogim zamiarom? Wszakże ludzkość od wieków łamie się z ciemnotą. Wszakże tak starożytne jako i nowsze usiłowania cywilizacji, dążą nieprzerwanie ku zdeptaniu i wytępieniu: ciemnoty, czarów, znachorów, zamawiaczy chorób, świętoszków, podań potwornych, ogłupiających łatwowierną gawiedź swemi zagrobowemi i chyba w jakimś niepojętym szale wymarzonemi zjawiskami? Po co ludziom te niedorzeczne, bo tylko w choréj wyobraźni wylęgłe marzenia jakichś nadprzyrodzonych, zagrobowych wpływów na człowieka, którego życie wszystkiemi tętnami serca i głosem trąby archanioła domaga się zwrócenia wytężonéj wszystkiemi danemi od Boga siłami uwagi na siebie samego? Czyliż to w samém tem życiu Bóg nie rozpostarł dosyć objawów wielkich, dosyć przedmiotów do myślenia takich, że dzisiaj nikt już nie zdoła przyswoić sobie własnemi jedynemi siłami całego obszaru dozwolonéj człowiekowi wiedzy? Czyliż mało mamy rodzajów pracy, mało zachodów w *życiu naszém*, niemal wyczerpnąć mogących wszystkie siły umysłowe?

Jak światło ma swoich apostołów, tak i ciemnota chlubi się swymi krzewicielami, którzy śmiało, czelnie nad podziw stawiają zuchwałe kroki przeciwko powszechnéj cywilizacji!

Rzecz trudna do uwierzenia, a jednak boleśnie dla nas prawdziwa! Ciemnota, z którą cały świat od tylu wieków tak uporczywie walczy, wystawia jeszcze przeciwko sprawie cywilizacji swoje hufce! Z oburzeniem spostrzegamy, że nie daje odetchnąć strudzonemu kłopotami ojcu, spracowanemu rzemieślnikowi, biednemu wyrobnikowi codziennego kawałka chleba i łatwowiernemu prostaczkowi ducha, ludziom którzy niosąc do kantorów książkowych, ostatnie oszczędzone w pocie czoła grosze, usiłują w dzisiejszém dziewiętnastém stuleciu pokrzepić się, nabrać jakiejś wiedzy w rzeczach drukowanych tutaj w Warszawie! A oni za te swoje krwawo zapracowane, a z rzeczywistém poświęceniem oddane grosze, otrzymują śmiecie, zbierane Bóg wie gdzie.

Rozumny czytelnik nasz wie doskonale, do czego zmierzamy. Bo któżby się nie domyślił, że w powyższém oburzeniu naszém pragniemy szczere słowo prawdy powiedzieć o nowo pojawiającém się u nas dziele: „Świat duchów". Dzieło to stanowi zbiór niby rzeczywistych, bo stwierdzonych podobno wiarogodnemi świadectwami dotąd tysiącami, a w długiéj, zapowiadanéj przyszłości tego dzieła chyba krociami rozchodzić się mającemi egzemplarzami faktów, wszelkiego rodzaju zagrobowych zjawisk, działających na łatwowierne i zabobonne głowy. Tysiące lat zbijało dotąd takie brednie, i po tysiącach lat, my, dzieci drugiéj połowy dziewiętnastego wieku, skazani jesteśmy jeszcze na uprzątanie podobnych cmentarnych śmieciowisk tak skrzętnie gromadzonych dla złéj sprawy ducha ciemnoty! Małoż jest utrapień rzeczywistych w życiu naszém, aby jeszcze nowe stwarzać widma i strachy dla zatruwania tego życia, które z takim mozołem pragnie się wygrzebać z pod stosów przygniatającéj je ciemnoty? Prawdziwym duchem jest duch życia! Wszystko, co za jego obrębem leży, jest wytworem chorobliwych mrzonek, bo śmierć jest tajemnicą, któréj nikt jeszcze ani zgłębić ani odgadnąć nie zdołał. Po cóż więc rozpowszechniać drukiem to, z czego nie jedno już zaginęło w pamięci ludzi, albo większości było nieznaném? Cóż zyskają czytelnicy na takich ramotach, podpisanych choćby nawet przez jedno z najchlubniéj znanych imion? Rozsądni z pogardą je odrzucają, a ciemnota rozchwytuje zapalczywie, boć ona nie umié jeszcze odróżnić czystego ziarna prawdy i nauki od

podłéj plewy. Ogłupianie takim *„Światem Duchów"* powinno być jednomyślnie potępionem przez cały Świat Żyjący, świat zdrowém, rozumném, ale niezamąconém okiem zabobonu na nasze życie patrzący.

Może nam jeszcze nie wierzycie, zapytajcie Kościoła. Toć on takie zabobony wyraźnie piętnem występku naznacza.

A my takie dzieła czytamy jeszcze; na przytaczanie albo raczéj nakręcanie do nich takich utworów jak np. Mickiewicza, Deotymy, Zana i innych, których rzeczywistém przeznaczeniem jest tylko upostaciowanie artystyczne wspomnień i podań ludowych? toż my chyba nie wyznawcy, nie dzieci tego Chrystusa, którego święta i czysta nauka ma być jedyną wskazówką naszego żywota. Są tam wprawdzie powtykane artykuły, ozdobione nazwiskami celniejszych naszych pisarzy, przeznaczone niby na to, aby objaśnić czytelnika, jak ma pojmować przedmiot tego wydawnictwa, ale i artykuły te, jako w innym celu pisane, nie osłabiają wrażenia z całości. Dwa z nich np. Kraszewskiego i Kaszewskiego (z pism czasowych wyjęte), odnoszą się do spirytyzmu i wyszydzając spirytystów, bynajmniéj nie szydzą z wiary w duchy. Owszem, zamieszczenie tych artykułów naprowadza na myśl, że użyte zostały dla tego, aby spirytyści i inni tym podobni nie lekceważyli sobie duchów, którzy nie powinni zapewne słuchać byle spirytysty, ale mogą spieszyć całemi tłumami na wezwanie spekulacyi, aby znaleźć miejsce w jéj książce.

WŁOŚCIANIE W WIELKIEM KSIĘSTWIE POZNAŃSKIEM.

(Ze stanowiska etnograficznego).

Ludność wiejska w Wielkiém Księstwie Poznańskiém jest przeważnie polska; włościanie pochodzenia niemieckiego, zaledwie trzecią część ludności téj stanowią.

Włościanie niemieccy zjawili się w Poznańskiem już w XIII-m wieku, za Przemysławów. Cystersi w Paradyżu, Bledzewie, Przemencie i t. d. sprowadzali ich z Frankonji i Szwabji i osadzali niemi wsie swoje. Znacznie już później Fryderyk II-gi, osadzał nowych kolonistów niemieckich wzdłuż brzegów Noteci. Długie tych osadników pomiędzy Polakami przebywanie, zwłaszcza z pierwszéj epoki, zmieniło cokolwiek ich właściwe zwyczaje, tak dalece, że włościanin niemiecki z tych obu epok uważany być może poniekąd jako pośrednie ogniwo między narodowością i cywilizacją polską a niemiecką. Stosuje się to w wielkiéj części do tak nazwanych Bambrów pod Poznaniem osiadłych i polskim zwykle przemawiających językiem. Nie tak się jednak ma z kolonistami w nowszych czasach, bądź przez rząd pruski bądź przez właścicieli na roli osadzonemi.

Zwyczajnie w zachodnich powiatach Królestwa Polskiego, a osobliwie w Wielkiém Księstwie Poznańskiém, osady cudzoziemskie i osadników zowią kolonistami albo Olędrami. To ostatnie nazwanie przypisują niektórzy temu, że pierwsi co w kraju osiedli, przybyli z Hollandyi. Rzeczywiście jednak pochodzi ono od wyrazu niemieckiego *Hauländer*, znaczącego karczownika osiadającego w lesie, albo jak nazywają w Ameryce Północnéj: *Pioniera.*

Włościanin w W. Ks. Poznańskiém jest wzrostu wysokiego; pod Gnieznem, Pleszewem i Odolanowem średniego, twarzy częściéj pociągłéj i bladawéj niż okrągłéj i rumianéj, cery białéj lecz od słońca opalonéj, włosów blond lub szatynowych. Kobiety mają rysy bardzo regularne, ujmujące; wśród nich przeważnie blondynki panują. W południowych stronach są one wzrostu miernego, lecz niezbyt są zgrabne, a ubiór wcale do podwyższenia ich wdzięków nie przyczynia się, choć sutą tworzy przyodziewę i z dość bogatéj uszytą materji.

Lud z okolic Poznania i Bydgoszczy jest zabiegliwym i pracowitym, ztąd i zamożność u niego większa niż gdziekolwiek u innych włościan. Dość zamożnym jest także lud z okolic Krotoszyna, Gostynia, Kościana i t. d., do czego się i bractwo wstrzemięźliwości wpływem swym niezmiernie przyczyniło. Lubo jest on tu jak wszędzie szczerym, serdecznym i pobożnym, zachował jednak więcéj i lepiéj niż w niektórych innych stronach, zwyczaje i obyczaje starodawne, a nawet sposoby mówienia i pojedyncze wyrazy, gdzieindziéj prawie niesłyszane, można w jego usłyszeć ustach. W ogóle lud tutejszy nie jest obojętnym na sprawy powszechne; chętném też uchem chwyta wszelkie nowinki. Wymowa jego czysta, mianowicie w Północno - Zachodnich stronach, bez tak zwanego *mazurzenia;* tylko w południowo-wschodnich stronach mazurzenie to częściéj słyszeć się daje.

Lud Wielkiego Księstwa Poznańskiego mniéj wprawdzie jest poetycznym i rzewliwym niż mieszkaniec Galicji wschodniéj, mniéj ruchliwym niż znany ze swéj wesołości Krakowiak; widać jednakże w zwyczajach i obrzędach zachowanych dotąd: dowcip, otwartość, szczerość i znamionującą mieszkańca słowiańskiéj ziemi gościnność. Rękami swemi uprawia ziemię, mało znając dotąd przemysłu; z jéj też głównie owoców żywi siebie i rodzinę, opłaca podatki, resztę obraca na ochotę w mieście, przyjechawszy na targ z furką zboża, drzewa i t. d. Dawniéj też lubił on w trunku zbyt tanim zatapiać (jak się sam wyrażał) swe troski. Lecz dzięki łaskawéj Opatrzności, coraz mniéj już widać ofiar téj ciemnoty. Owszem, od czasu ustania zaciągów, z ochotą każdy dzieci swe do szkół posyła, zkąd nie jedną pożyteczną naukę przynoszą one do domu. Bywają nawet wypadki, iż chłopek syna swego i do wyższych szkół sam, bez pomocy pana lub księdza oddaje, aby go tamże przy zdolnościach do wyższego usposobił stanu.

Chaty włościan, lubo po większéj części słomą kryte, są porządnie zbudowane, schludnie utrzymywane i opatrzone dostatniemi piecami i kominami. Budowane są miejscami w reglówkę (kryte słomą lub szkudłami), miejscami w glinę lepione pod topór, gdzieindziéj znów w strychulec (pod strzechą) lub w pruski mur (pod dachówką). Nie brak jednakże domów z drzewa zbudowanych, a nawet i murowanych. Wewnątrz widać w ogóle dosyć zamożności a niekiedy i dostatek. Ławy, stołki i stoły pomyte i czysto utrzymane, niekiedy farbą olejną pokostową powleczone, skrzynie malowane, półki z miskami i garnkami, łóżka wysoko pierzynami zasłane. Tenże sam ład ukazuje się i w komorze na przechowanie sprzętów

i narzędzi domowych przeznaczonéj; w sieni stoją cebry, beczki i inne naczynia. Obok chaty podwórze czysto zamiecione; daléj stodoły, a przy nich obory i chlewiki, w których mieści się po kilka sztuk bydła i koni roboczych, oraz owce i świnie. Za domem częstokroć sad w owoce nie skąpy.

W ubiorze ludu wielką spostrzegamy rozmaitość, chociaż lud w wielu miejscach przyswajać już sobie począł ubiór niemieckich włościan. Barwa granatowa jest tu panującą; płaszcze zawsze niemal tego są koloru. W okolicach Poznania mężczyzni noszą sukienne długie *kamizele* (zimą kożuch); pod kamizelą *brzuszlak* ze świecącemi guzikami. Na głowie latem kapelusz, zimą wysoka czapka z siwym lub czarnym barankiem. Spodnie w butach z długiemi cholewami. — Niewiasty mają *spódnik* z sycu lub innéj cienkiéj tkaniny, kabat z sukna z krótkiemi fałdami.— Głowa chustką związana z pętlicą na przodzie, a pod nią *kapka* czyli czepek suty. Bardzo oryginalny jest ubiór *Bambrów:* Mężczyzni noszą zwykle spodnie cielęce żółte, naszywane na przodzie kolorowemi nićmi, w święto zaś zielone aksamitne w buty; kamizelki pod samą zapięte brodę; przy domu chodzą w krótkich kaftanach najczęściéj czerwonych, tak zwanych *jakach* (z niemieckiego *Jacke*), które się w ogóle niezmiernie w Poznańskiém zagęściły;— na nie przywdziewają surdut długi lub płaszcz granatowy; na głowie kapelusz o bardzo szerokich brzegach. Kobiety mają na sobie 10 do 15 spódników, sięgających kolan, wierzchnia spódnica bywa merynosowa lub pikowa, jaskrawa; sznurówka krótka, wycięta pod szyją, wcale nie uwydatniająca kibici, na niéj kaftanik, którego rękawy lejkowatym końcem ramiona okrywają i stanik jak u sznurówki wycięty; na nogach białe pończochy i płytkie aksamitne trzewiki z wielką kokardą na przodzie; głowę stroi kapka czy czapka zwykle biała wstęgami zdobna, na nią zawięzują chustkę lub kładą kapelusz kobiecy słomkowy. Na Pałukach i w powiatach bliższych Kujaw noszą chłopi granatowe lub zielone sukmany i kamizele długie, pasem włóczkowym przepasane, kapelusz czarny niski, z szerokiém dnem, płaszcz z niemiecka krajany granatowy lub kożuch. Kobiety w suto-fałdzistych kabatach i kaftanikach, z czepcami na głowie o długich z tyłu fałdach; dziewki chustką obwijają głowę lub strojne są w kwiaty i wstęgi we włosach; warkoczów jednak nie noszą, obstrzygując włosy z tyłu. Same



Włościanie z okolic Kurnika. (W. Ks. Poznańskie.)

one sobie częstokroć robią tkaniny z wełny i przędzy, które farbują korą olszową na fartuchy, pstruchy, spodnie i spódniki w paski. W powiatach północno-zachodnich nierzadko widzieć się daje ubiór kaszubski; zimową porą surdut długi granatowy, westka pstra krótka czyli *jaka*, spodnie granatowe, na to płaszcz granatowy, długi z peleryną i kaszkiet (czapka z daszkiem). Kobiety chodzą do kościoła z obwiązaną chustką jedwabną czarną, w sukni gładkiéj i długiéj, bez stanika, opasanéj fartuchem i obrzucają dużą na szyję chustkę pstréj barwy. Coraz rozmaitsze kroje i weselsze barwy przybiera ubiór w stronach kraju południowych. W Kościańskiém mężczyzni chodzą w długich kamizelach, w lecie z płótna niebieskiego, a w zimie najczęściéj z sukna ciemno-zielonego; płaszcze suto z tyłu fałdowane z peleryną; kapelusze niskie i szerokie, zimą czapki wysokie lub czworograniaste z barankiem. Kobiety mają spódniki długie do kostek, fartuchy nieco krótsze, szerokie i jasnego koloru, sznurówki, kabatki czyli półkoszulki białe z krótkiemi rękawkami i dużemi około szyi kryzami; na głowie kapka biała lub kolorowa, obszyta koronką z długiemi i szerokiemi szarfami, które wiążą pod twarzą; z tyłu kapki lub czapeczki również są szarfki ułożone w kokardę i spadające końce wstążek zielonych i czerwonych; w zimie noszą na święto spencerki zielone lub szafirowe, sukienne lub merynosowe. W Pleszewskiém i Odolanowskiém, ukazują się u mężczyzn długie kamizele lub sukmany granatowe albo białe, ze stojącym kołnierzem, zapinane na haftki, pod niemi brzuszlaki (kamizelki),— spodnie płócienne białe w butach, na głowie kapelusz pilśniowy lub słomkowy, a w zimie czapka wysoka. Kobiety noszą jasne spódniki w tyle gęsto fałdowane, czasem sznurówkę, kabaty sukienne z krótkiemi fałdami, czapeczki białe, złotem niekiedy wyszywane, ze wstążkami; głowy zwykle czerwoną okryte chustką; dziewki mają strój ze wstążek na głowie i zwieszony z tyłu warkocz.

Wesela (tu *wesołami* zwane) z równą jak w całéj słowiańszczyznie obchodzone są uroczystością. Przy zaręczynach zwanych *zmówinami* lub *pytankami* obierają swatów, drużbów i druchny, układają się o stosunki majątkowe przy świadkach i obficie biesiadują. Po zapowiedziach następuje ślub i wesele, na które drużba starszy i *młodzianie* (drużbowie młodsi) zapraszają w wigilją, długą prawiąc przemowę. I w ogóle, wielce lubią się rozgady-

wać przy weselu. Do ślubu pan młody w siwéj czapce z wstążkami jedzie konno oklep z krótkim batem w ręku, młodzianie obok jadący na koniach strzelają na wiwat, panna młoda z swachnami, gośćmi i muzyką na wozie, ze śpiewem. Po ślubie wstępują do karczmy, tańczą, piją, ztamtąd jadą do rodziców na obiad, na którym musi być gęś pieczona i czarnina z kluskami. Drużba nie siada do stołu, tylko usługuje i bawi gości konceptami. Po obiedzie idą tańce, potém ktoś z gości przebrany za żyda dowcipkując, chce pannę młodą kupić, ona się wymyka, szukają ją i sprowadzają, a żyd dobija targu. Mężatki sadzają ją na stołku lub dzieży do oczepin, ucinają warkocz (jeśli go dziewica posiadała), ubierają w czepiec śpiewając, drużba z nią tańczy, ona udaje kulawą po trzykroć i t. p. Są to zwyczaje, powtarzające się w różnych odmianach w całéj prowincji. Nareszcie drużba stósowną przemową żegna gości, życzy młodym małżonkom pomyślności i wysyła do domu. — Na drugi dzień przynoszą goszczący zapomogę w jadle i tańczą, a młoda mężatka wkupuje się w stan małżeński w karczmie.

Lud tu, jak wszędzie, wierzy w czary i czarownice *(Cioty, Mądre)*, przyroki,— postrzały, zażegnania, paskudniki, strachy różne i zmory. Mnóstwo ma przesądów i do przepowiedni przy każdéj sposobności się ucieka. Pod tym jednak względem przyznać należy, że duchowieństwo i szkoły wielce się przyczyniły do wykorzenienia zastarzałych i szkodliwych mniemań, i lud na prawdziwą drogę oświaty naprowadziły — lubo i to nie ulega wątpliwości, że wiele jeszcze dobrego do zrobienia pozostaje, a czas i dobre przykłady najlepszemi w takich rzeczach będą nauczycielami.

Oskar Kolberg.

MECHANIKA.

I.

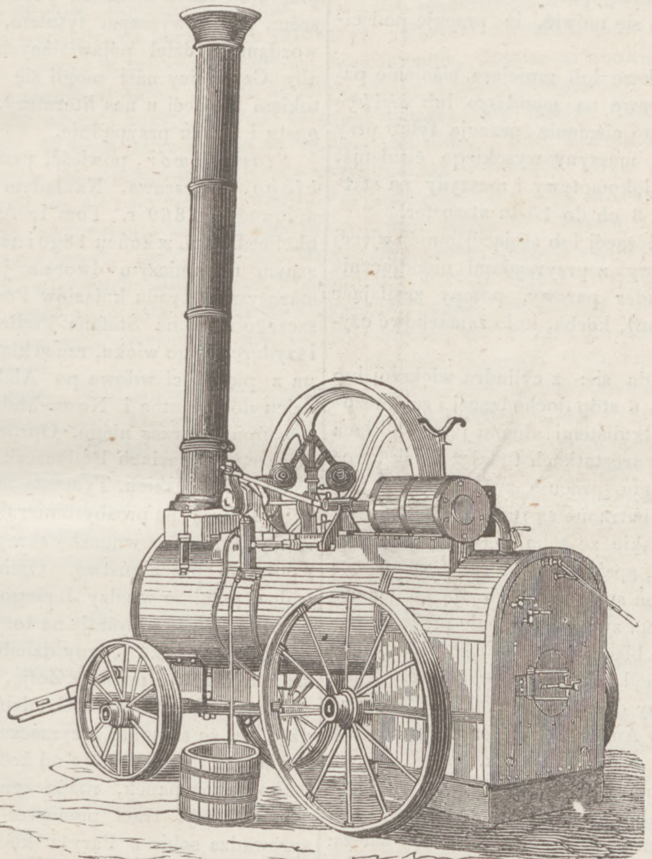
MASZYNA PAROWA.

Z pomiędzy wszystkich maszyn używanych w rolnictwie i przemyśle, *Maszyna parowa* dosięgła największéj doskonałości; a z powodu swéj niezawisłości od rozmaitych zmian natury i z powodu użyteczności jéj siły, pierwszeństwo ma przed innemi maszynami.

Używanie siły *wiatru* do mechanicznych czynności, wystawione jest na ciągłe i nieprzewidziane zmiany powietrza, skutkiem czego używa się siły wiatru tylko w pewnych okolicznościach, których nigdy stale oznaczyć nie podobna.

Ale mniéj jeszcze pewną okazała się *woda*—jak to wiemy z codziennego doświadczenia — gdyż podlega jeszcze więcéj różnym naturalnym przypadkom, a nawet przy najlepiéj urządzonych kołach i turbinach, użycie tego elementu w mechanicznych prasach, przy braku wody okazuje się nie możliwém, a przy zbyt wysokim jéj stanie, musi być wstrzymaném, w obudwóch razach, niezależnie od woli właściciela zakładu.

Inaczéj rzecz się ma z machiną parową; ani cisza w powietrzu, ani burza, ani susza, ani wreszcie wystąpienie wody z brzegów stawu lub z koryta rzeki, nie potrafią wstrzymać jéj pracy i niekorzystnie wpłynąć na jéj bieg regularny. W każdym czasie, w każdéj chwili, jest ona na nasze usługi. Ale nie tylko dla téj przyczyny, tak wielkie upowszechnienie znalazła, lecz także i dla tego, że maszyna parowa nie potrzebuje zajmować tak wielkich przestrzeni jak np. wiatraki i koła hydrauliczne; — drzewo także na opał, jako też trochę wody do kotła, łatwo się znajdzie pod ręką. Wreszcie ten warunek, że machinę parową możemy zbudować odpowiednio do żądanéj siły i że ją użyć można jako pomocniczego motora przy niedostatku wiatru lub wody uczynił ją najużyteczniejszą machiną z pomiędzy wszelkich silników.



Lokomibila z kominem stojącym.

Maszyna parowa zastósowana do dróg żelaznych, parostatków, fabryk i gospodarstwa rolnego,— przedstawia użyteczność równą telegrafom; — jéj konstrukcja zatém i sposób obchodzenia się z nią, stanowi osobną naukę: *mechaniką* zwaną, która jednak nie może być tutaj specyalnie wyłożoną. Każdemu wszakże przemysłowcowi, choćby ogólna znajomość takowéj, jest koniecznie potrzebną, gdyż prawie każdy może być w wypadku zetknięcia się z maszyną parową, ponieważ pojedyncze jéj części składowe w mechanice praktycznej, liczne zastósowanie znajdują.

Każda maszyna parowa *stała* czy *przenośna*, pracuje pod ciśnieniem pary, która, wyprodukowana z wody w kotle parowym za pośrednictwem ognia, przeprowadza się rurą do machiny parowéj, którą do ruchu pobudza.

Słyszeliśmy w fizyce o rozprężliwości, elastyczności lub rozszerzalności gazów, otóż ta nauka znajduje w mechanice wielkie zastósowanie, kiedy mowa jest o kotłach i produkcji pary. Parę produkuje się aż do pewnego stopnia prężenia w zamkniętych zbiornikach, które się kotłami pa-

rowemi nazywają i z których dopiero przeprowadza się ją do maszyn parowych. Prężenie to pary oznacza się miarą, któréj jednostkę stanowi ciśnienie powietrza nas otaczającego. Powietrze to ciśnie jak wiadomo z siłą, równą ciężarowi 15 funtów na każden cal kwadratowy i nazywa się: *jedną atmosferą*. Jeżeli więc w jakiém zamkniętém naczyniu posiadamy parę, cisnącą na każden cal kwadratowy powierzchni kotła z siłą 30, 45, 90 funtów, to zwykło się mówić — podzieliwszy powyższe cyfry przez 15 — iż para ma ciśnienie 2, 3, 6 atmosfer. Ciśnienie pary w kotle — po potrąceniu jednéj atmosfery — nazywa się ciśnieniem *względném;* jeżeli zaś ciśnienie pary będziemy uważać razem z ciśnieniem powietrza, ciśnienie takie nazywać należy *bezwzględném* czyli absolutném. Pary używa się pod rozmaitém ciśnieniem, zależném od rozmaitych okoliczności i podług tego ciśnienia budują się kotły i maszyny. O maszynie, poruszanéj parą ciśnienia 45 funtów na cal kwadratowy, zwykło się mówić, iż pracuje pod ciśnieniem 3-ch atmosfer.

Ze względu więc na większe lub mniejsze ciśnienie pary, dzielą się maszyny parowe na *wysokiego* lub *niskiego* ciśnienia. Maszyny niskiego ciśnienia pracują tylko przy $1^1/_2$ do $2^1/_2$ atmosfer, zaś maszyny wysokiego ciśnienia, jako to maszyny górnicze, lokomotywy i maszyny na statkach parowych, pracują od 3 ch do 15-tu atmosfer.

Części główne machiny leżącéj lub stojącéj mniéj więcéj są następujące: kocioł parowy z przyrządami nieodłącznie do niego należącémi; cylinder parowy, pompy zasilające (alimentacyjne), tłok (piston), korba, koło zamachowe czyli szalone.

Kocioł zaś parowy składa się: z cylindra większéj lub mniejszéj średnicy od 3 do 6 stóp dochodzącéj i zakończonego zazwyczaj dwoma półkulistemi dnami jak w kotłach niskiego ciśnienia np. na parostatkach tudzież przy lokomotywach, chociaż te ostatnie pracują zwykle przy wysokiém ciśnieniu—ale zato opatrzone są rurami płomiennemi łączącemi dwie ściany płaskie ze sobą. Blachy żelazne, z których się kotły budują, spajają się z sobą za pomocą *nitów* (rivets), następnie na spojeniach ubijają za pomocą dłutka stalowego, sztamajzem zwanego, aby nie przepuszczały wody i pary. Grubość blachy zależną jest od średnicy kotła i od ciśnienia pary, pod jakiém ma pracować. Tam, gdzie płomień najsilniejszy działa na kocioł, daje się blachę najlepszego gatunku, w Anglji *Low-Moor* nazywaną lub téż inny odpowiedni co do dobroci gatunek.

Pojedyncze części do opatrzenia kotła służące, nazywają się monturą, armaturą albo *uzbrojeniem*. Armatura dzieli się na ogniową i bezpieczeństwa. Do pierwszéj należą: drzwi ogniskowe, belki, ruszta podstawki pod kocioł, szyber kominowy; do drugiéj zaś: klapa bezpieczeństwa, manometr, wentyl alimentacyjny czyli zasilający, do upuszczania wody i pary, pływak zwyczajny, pływak magnetyczny ze świstawką Pinell'a i zasilacz (Injecteur) Giffard'a; tych dwóch ostatnich przyrządów używa się zazwyczaj w cukrowniach i na lokomotywach *).

Lokomobila, jak ją rysunek przedstawia, buduje się od 3-ch do 12-tu koni parowych 75 kilogrammetrowych. Machina ta na 4-ch kołach, złożona jest z kotła walcowego, opatrzonego rurami płomiennemi, z ogniska, komina, pompki zasilającéj i maszyny parowéj, na tymże kotle umieszczonéj. Ta znów składa się z cylindra parowego, tłoka, wału, koła zamachowego i regulatora. Służy ona do poruszania: warsztatów, młynów, tartaków, do bicia pali przy budowie mostów, do sikawek pożarnych, w gospodarstwie wiejskiém do gorzelni, młocarń, sieczkarń i t. d. Z powodu swojéj taniości, łatwości jéj przeprowadzenia z miejsca na miejsce i wielorakiego użytku, niezmiernie się upowszechniła we Francji i Anglji. Rolnicy tameczni wypożyczają jéj sobie za pewném wynagrodzeniem. W południowo-Zachodnich gubernjach Cesarstwa po większych gospodarstwach i fabrykach cukru, również ją napotkać można. *Jan Pietraszek.*

*) W Dzienniku Politechnicznym braci Marczewskich z roku 1862, pomieściłem obszerny i szczegółowy opis kotłów parowych i przyrządów do nich należących, tam więc Czytelnika po bliższe szczegóły niniejszego artykułu odsełam. *J. P.*

ROZMAITOŚCI.

— **Nowe dzieła.** Ponieważ nie jeden z Czytelników Opiekuna Domowego radby czasem kupić sobie jakąś książkę, z któréjby mógł się czegoś pożytecznego dowiedzieć, nauczyć, a nieraz w chwilach potrzeby ducha i rozerwać się, przeto od czasu do czasu podawać będziemy w piśmie naszém, pod powyższym tytułem, krótkie doniesienia i sprawozdania z dzieł pojawiających się w handlu księgarskim, aby Czytelnicy nasi mogli się zaznajomić choć w części z tokiem bieżącéj u nas literatury, i nabyć sobie to, co im do gustu i smaku przypadnie.

Stary Dwór, powieść, przez Tadeusza Jerzego *Steckiego*. Warszawa. Nakładem Redakcji Przeglądu Tygodniowego. 1869 r. Tom I. Autor przenosi nas myślą w okolice Łucka, w końcu 18go i na początku 19go wieku. Strasznym tajemniczym dworem jest dwór, w Mostyszczach, starożytnego rodu kniaziów Podbereskich, na których, a w szczególności na Stefana Podbereskiego, dumnego, cynika i szydercę 18go wieku, rzuca klątwę, w godzinę śmierci, słynna z piękności wdowa po Aleksandrze Malińskim, dziedzicu dóbr Kutna i Nowo-Malina, jak się zdaje zdradzona i shańbiona przez niego. Oprócz tego przekleństwa ciąży jeszcze na kniaziach Podbereskich grzech zabrania skarbów rodzinie Malińskich. Tymczasem wnuk Stefana, Jerzy, bawiący w Paryżu, na prośby umierającéj swéj matki, ma poślubić Zofję Malińską, wnuczkę skrzywdzonéj babki, aby zmazać i odkupić przekleństwo. Ojciec Zofji, po długiéj ze sobą walce, pomimo wiedzy Jerzego, nie mogąc się oprzeć prośbom konającéj, przystaje na to. Jerzy już po pogrzebie swéj matki wraca jako jedyny dziedzic do Mostyszcz, oddaje sąsiadom wizyty i poznaje Zofję, o którą w tym czasie stara się formalnie Stanisław Grudziński. Jerzy i Zofja, nie wiedząc nic, że są sobie przyrzeczeni, pokochali się. Stanisław oświadcza się i — dostaje od kosza. Tymczasem Jerzy jako lekkomyślny panek, rozpoczyna życie hulaszcze, nudzi się, gra w karty, traci pieniądze i ku wielkiemu zgorszeniu, sprowadza sobie z Paryża kochankę piękną, choć dziwnie szlachetną Emmę. O Zofji zapomniał, a oddał się Emmie, kartom i młodym utracjuszom, rujnując się moralnie i materjalnie. Ojciec Zofji, jako jego opiekun, idzie go napomnieć i spotyka się z Emmą. Emma dowiedziawszy się na jak złéj drodze stoi Jerzy, zapomina o sobie a postanawia go ratować. Jerzy poznawszy błąd, pisze list pożegnalny do Malińskiego i wyjeżdża z kochanką za granicę, gdzie ginie bohatérsko w bitwie. Emma zostaje zakonnicą, a Zofja smutna i zawiedziona w uczuciach, wychodzi za Stanisława Grudzińskiego. Powieść ta, choć nie widać w niéj wybitnego celu, czyta się dosyć zajmująco.

Złoty Jasieńko, powieść współczesna, przez *J. I. Kr.* Warszawa. Nakład Michała Glücksberga. 1869 r. Tom I. Rzecz dzieje się u nas, w jedném z większych miast prowincjonalnych. Tym złotym Jasieńkiem jest Jan Szkalmierski, młody, zdolny, wzięty i sprytny mecenas, syn prostéj przekupki, który na tak zaszczytne stanowisko wyniósł się dzięki swéj głowie i poparciu pieniężnemu starozakonnego Simsona, ojca prześlicznéj córki, o któréj i o Szkalmierskim coś po mieście przebąkiwali. Ale pan mecenas,

pomimo piękności, dobrego tonu, wzięcia, gustu i hucznie wyprawianych biesiad, pomimo jak najlepszéj w okolicy opinji i poważania, był kompletnym, skończonym łotrem, człowiekiem w gruncie bez serca, czci i wiary. Całą jego dążnością, celem życia, było wyniesienie się osobiste nad innych, za pomocą arystokratycznego ożenienia się i zrobienie tanim kosztem, choćby z krzywdą innych, wielkiéj fortuny. Dla tego też wyparł się swego urodzenia, wypędził z domu matkę i brata, nie poznawał swych towarzyszów młodości, a żył z panami i po pańsku. Do czasu mu się to udawało, ale tylko do czasu. Łzy nieszczęśliwéj jego matki wołały o pomstę do Boga, choć go kochała i radaby zań życie oddać. Wstydził się pójść nawet za jéj pogrzebem. Godzina pomsty nadeszła. Wszystkie nadzieje bogatego ożenienia się spełzły na niczém. Nietylko arystokratki, ale i mieszczanki nie chciały teraz nawet patrzeć na złotego Jasieńka. Simson plunął mu w oczy i zagroził procesem o nieoddanie długów. Rodzony jego brat, Wilmuś, którego się zaparł, wychodzi na porządnego człowieka i boi się ze wzgardą uderzyć p. mecenasa, żeby się nie splamić. Złoty Jasieńko okrada w końcu swoich klientów, i aby ujść zupełnego bankructwa i kozy, czmycha za granicę, udając że się utopił. Wilmuś jadąc z żoną na wystawę Paryzką, spotkał go w Homburgu usługującego przy zielonym stoliku. Poznali się, ale się nie przywitali. Powieść ta, napisana przez wytrawnego naszego pisarza, obudza interes i czyta się z wielką przyjemnością. Osoba mecenasa, arystokratyczni właściciele Zakrzewka, Simson, mieszczanin Zwiniarski, stary kancelista Tramiński i Mateuszowa, matka złotego Jasieńka, szczególniéj interesująco i prawdziwie są odmalowani.

— **Paryzcy doróżkarze.** Niedawno temu, z jednym z uczonych moich współrodaków, który pierwszy raz będąc w stolicy Francji, powierzył się mojemu przewodnictwu, jechałem doróżką do cyrkułu Łacińskiego. Wysiadając w pobliżu Sorbonny, stangret oświadczył nam: że niegdyś miał bardzo często zaszczyt wożenia jednego z najsławniejszych Niemców, a mianowicie *Aleksandra Humboldta*.

„Woziłem go często,” mówił on, wydając nam resztę z pięciofrankowéj sztuki, „do pana Franciszka Arago. Obaj żyli z sobą bardzo serdecznie i z radością widywałem ich, jak dwóch najlepszych przyjaciół, siedzących obok siebie w mojej doróżce.

„Aleksander Humboldt umarł przed dwoma miesiącami,” wtrącił mój rodak.

„Śmierć nie oszczędza nawet i nieśmiertelnych,” rzekł doróżkarz i po chwili dodał: „*Pulvis et umbra sumus*.” (Jesteśmy prochem i cieniem).

„Jakto, przyjacielu, wy umiécie po łacinie?” zapytałem zdziwiony.

„Nie zapomniałem jeszcze Horacego,” odpowiedział wzniósłszy oczy w górę i uśmiechając się smutnie. Po czém machnął biczem, ruszył dalej.

Mój towarzysz prawie osłupiał. „Tak często nam mówią o ciemnocie ludu francuzkiego,” rzekł nareszcie do mnie; tymczasem, pierwszy paryzki doróżkarz, którego spotykam, posiada klassyczne ukształcenie. Czém się to dzieje?

Postarałem się następnem objaśnieniem rozwiązać tę zagadkę. W Paryżu jest przeszło sześć tysięcy doróżek, a pomiędzy doróżkarzami znajdują się nietylko ludzie, którzy niegdyś we własnych bogatych jeździli powozach, ale także i dawni professorowie, prawnicy, notarjusze, artyści, słowem: ludzie, którzy nie z własnej winy, lecz skutkiem nagłej zmiany losu, ze szczytu szczęścia i pomyślności runęli w odchłań niedoli; albo też ludzie, z którymi surowa Temis (bóstwo sprawiedliwości), mając jakiś rachuneczek do załatwienia, zamknęła ich pod rygle i zamki więzienne, dając im sposobność namyślenia się nad przyszłą dolą swoją. Gruba zasłona pokrywająca przeszłość takich ludzi, rzadko, nigdy prawie nie bywa uchyloną. Przedstawiając się towarzystwu doróżkarzy jako stangreci, potrzebują oni tylko wykazać dostateczną umiejętność powożenia i złożyć kaucję w kwocie dwustu franków, na zabezpieczenie danéj im liberji i na pokrycie kar, jakie policja za popełnione zdrożności, wymierzyćby na nich mogła. Czy oni kiedyś zawinili w czémkolwiek lub nie, zawsze nad nimi czujność jest wielka i każde ich przekroczenie, natychmiast surowo bywa karaném.

Doróżkarze paryzcy są niezmiernie przebiegli i starają się przedewszystkiem o względność policji. Zawiniwszy jéj probują zaraz wszelkiemi siłami zaskarbić sobie na nowo jéj łaski, już to, składając w prefekturze zapomniane przez swoich gości w doróżce rzeczy, już też donosząc jej o zasłyszanych w niej rozmowach. Tutaj, w doróżce jest bardzo niebezpiecznie gawędzić o polityce.

Paryzki doróżkarz pobiera od towarzystwa cztery franki dziennie, lecz za to obowiązany jest szesnaście godzin na dobę służyć niewolniczo. Wprawdzie ciężką jego służbę wynagradzają jeszcze datki passażerów znane pod nazwą „na piwo,” a te, bywają czasami dosyć znaczne, bo doróżkarz odwożący kilku młodych ludzi z jakiej wesołej dziennéj lub nocnéj zabawy, może być zawsze pewien dobrego tryngeltu. Zresztą, zdarza się często, że jaka znakomita osoba, dbała o swoje inkognito, wynagradza doróżkarza bardzo hojnie. Wszakże to już nie jeden monarcha europejski, by nie być poznanym, kazał się w zwyczajnéj doróżce po Paryżu obwozić! Ale doróżkarze paryzcy są bardzo domyślni. Tyle oni już widzieli rozmaitych fizjognomji, że w swoich spostrzeżeniach bardzo rzadko się mylą. Wiedzą dobrze, kiedy wiozą jakiegoś zazdrośnika, który ścigając przedmiot swoich uczuć, pragnie go na gorącym schwytać uczynku i dla tego obiecuje hojne wynagrodzenie; wiedzą kiedy wiozą kochanka, który na umówioną schadzkę spieszy albo wreszcie zrozpaczonego bankruta, który chroniąc się kozy, pędzi na stację kolei żelaznéj, by ztamtąd jak najśpieszniej przed goniącymi za nim wierzycielami za granicę czmychnąć. Tego rodzaju passażerowie sowicie każdą sekundę czasu opłacają doróżkarzowi.

Oprócz tego pobocznego godziwego zarobku, doróżkarze paryzcy pokuszają się często o zarobek niegodziwy, rozwożąc po odleglejszych częściach miasta passażerów i nie zdając ztąd rachunku towarzystwu. Na takie ich nadużycia, mimo rozlicznych projektów, wysileń rachunkowych i troskliwych zachodów, nie zdołano jeszcze zaprowadzić skutecznej kontroli, chociaż nadużycia te bardzo rzadko utaić się zdołają. Oto rzecz. W Paryżu są ludzie którzy nader zręcznie umieją korzystać z interesu towarzystwa. Jeden z takich najmuje sobie doróżkę i stanąwszy na miejscu zamierzoném płaci cenę jazdy i zwykły datek „na piwo,” ale natychmiast spieszy do dyrekcji towarzystwa z oznajmieniem: że o tej a o tej godzinie, tym a tym numerem doróżki jeździł w to a to miejsce, dyktując zarazem, jaką monetą kurs swój zapłacił. Po kilku dniach zjawia on się w dyrekcji, która nagradzając jego gorliwość, zwraca mu kwotę zapłaconą przez niego doróżkarzowi. Taka dobrowolna kontrola zamieniła się w Paryżu na pewien rodzaj przemysłu i ciąży nad doróżkarzami jak miecz Damoklesa. Najprzebieglejszy z nich musi się zawsze obawiać czy nie wiezie jeszcze przebieglejszego passażera, który mu ze słodkim uśmiechem podaje tryngelt, by go potém w miarę okoliczności o zgubę przyprawić.

— **Elegancja chodu i nóg.** Łabędź jest ładnym, gdy żegluje po wodzie. Wyszedłszy na ląd, traci, kołysząc się, wiele z piękności swojéj i staje się podobnym do gęsi. Kaczka natomiast ładnieje wstąpiwszy do wody. Ruchliwość wie-

wiórki jest powabną na drzewie, kiedy przeciwnie na ziemi równa ją ze szczurem. Majtek na okręcie zadziwia zręcznością swoją, która traci cały swój powab w mieście.

Co różni na pierwszy rzut oka jelenia lub sarnę od kozy i świni, konia od osła, rybę lub węża od żaby i żółwia, jeżeli nie okazełe i zgrabne ruchy jednych a szpetne drugich? Hart i jamnik są psami. Olbrzymią różnicę między niemi stanowią ich ruchy. Hart daje susy i rzuca się, jamnik czołga się niejako. Lew zarówno jak niedźwiedź są potężnemi. Lew jest w swym chodzie i skokach powabnym, a w spoczynku okazałym, niedźwiedź przeciwnie, tylko niezgrabnym niedźwiedziem. Wzrokiem, głosem, ani budową głowy nie celuje z nich żaden, łapa i jéj ruchy roztrzygają elegancję lwa i szpetność niedźwiedzia. Garb nie czyni wielbłąda sam przez się jeszcze szpetnym, bo wół zebu (wół indyjski) choć garbaty jest ładnym. Lama jest gatunkiem wielbłąda, należy jednak do zwierząt bardzo ozdobnych. Co się podoba w żurawiu, czajce, ibisie, a nawet w bocianach, jeżeli nie powaga ich chodu? Z drugiéj strony co zjednało przepiórce i jaskółce ich zdrobniałe nazwiska, jeżeli nie miłe wrażenie, które czynią na nas ruchami swémi? Owady skrzydlate lub bardzo ruchliwe, robią daleko przyjemniejsze wrażenie niżeli powoli łażące. Np. widok osy i mrówek jest przyjemiejszy niżeli gąsienicy, raka, lub pająka. Między pająkami są ładnie zielone, karmazynowe i srebrzysto białe, (te ostatnie wodne), niektóre z gąsienic są licznie ubarwione; nikt jednak nie znajduje tych zwierząt ładnemi. Motyla zdobią nie tyle kolory jego skrzydeł, ile zgrabne ich ruchy. Konik polny, panna, gąsienicznik, podobają się jedynie ruchami swemi.

Stopa sama przez się nieroztrzyga jeszcze piękności ani szpetności nogi, ale przyczynia się wiele do jednéj i drugiéj. Odzienie męzkie pokrywające łydki szpeci mężczyznę.

Piękność stroju węgierskiego, hiszpańskiego i poniekąd staropolskiego w porównaniu do długich strojów azjatyckich, leży w odkryciu łydki i części uda. Co stanowi zwycięztwo fraka i krótkich kurtek nad wszystkiemi sarafanami azjatyckiemi? Nic innego jak swoboda ruchów, jak odkrycie i uwydatnienie pięknéj budowy męzkiéj. Długie odzienie, pokrywające nogi mężczyzny jest pewném zrzeczeniem się piękności swojéj i uciech weselnych, jest oznaką powagi i wieku. Chód i nogi mają tedy wielki udział w piękności. Chód i obówie różnią mocno żołnierza przejętego duchem rycerskim od usłużnego faktora, lub od ciężkiego rolnika; człowieka zarozumiałego o sobie od nadskakującego pochlebcy; eleganta od niedbalca; Hiszpana lub Węgra zarówno od Turka jak od Niemca i Holendra. Człowiek przemawia ruchem nóg nieomal tyle co wzrokiem, a daleko więcéj niżeli ruchem głowy lub rąk. Kobieta może zuchwale tupnąć nogą, ale nie może uderzyć pięścią o stół, jeżeli nie ma osłabić rozkazów swoich. Ukłon oddany nogami jest daleko większém poszanowaniem niżeli odkrycie głowy. Przed świętością klękamy bowiem wszyscy, zarówno mężczyzni jak kobiety, głowę odkrywamy natomiast nieomal przed każdym. Pokłonem i ruchem nóg da się daleko więcéj stopni uszanowania i cześci okazać, niżeli niedorzeczném ziębieniem głowy przez jéj odkrycie.

Skoro tak silnie wpływa noga na piękność mężczyzny, musimy brzydkiemi zwać mody z czasów, w których przyjętém jest zakrycie łydki spodniami. Rzeczywiście mody z czasów, w których noszono spodnie po kolana, należały do eleganckich i żaden rzeźbiarz ani malarz nie ma chęci współzawodniczyć z krawcem. Węgra, Hiszpana, Greka starożytnego lub Rzymianina można portretować w pełnéj postaci; fraka nie potrzeba płaszczem nak vać i zdobić. jego fałdami, ale pantalony nie zostaną nigdy godnemi ręki artysty.

HUMORESKA.



„Nie głową—to nogami."

— **Handel żabami.** Przewóz żab do Francji w ostatnich czasach znakomicie się powiększył. Jeden entreprener z Niemiec, w ciągu miesiąca wyprawił 230,000 żab do Francji. Najwięcéj są one transportowane do Reims, Nancy i Paryża. Za tysiąc żab płacą 4 ruble i są transportowane w workach, każdy ważący 37 funtów Warszawskich.

Żaby sprowadzone do Francji, żadnego cła na komorach nie płacą. Łowione są w Wansen na Szląsku pruskim, w Furcie w Niższéj Austryi i na brzegach rzeki Semoa, w Belgji. W Reims 25 par tylnych nóżek żabich kosztuje 40 groszy. Po większéj części żaby są przesyłane w całości i kucharze francuzcy wyborne z ich tylnych nóżek dla marnotrawców przygotowują frykasy na białym sosie z kaparami. Używane są również do pasztetów. Z samych żab i ich ślizgiej lipkiej skóry, wyrabiana jest podobno smaczna zupa *à la tortue*, do której smakosze ciągną jak ptaki na lep. Głowy żabie odchodzą na bok i oddawane są do szpitalów, gdzie z takowych wyrabiany jest dla chorych bulion. Czy pożywnym jest ten bulion — niewiadomo, lecz że jest lekko-strawnym dla osłabionych żołądków, o tém przekonywają zdania poważnych lekarzy paryzkich. Handel żabami, ma miejsce na początku i w końcu zimy. We Francji, gdzie się wiele błot znajduje, miejscowi włościanie ławią żaby i takowemi karmią trzodę chlewną. Lecz doświadczenie przekonało, że ludzie nie są tak wybredni jak dopiero wspomniany inwentarz domowy, który niezawsze a przynajmniej w początkach, z trudnością się przyzwyczaja do tego przysmaku.

Do tego Nr. *Opiekuna Domowego*, dołącza się dla wszystkich prenumeratorów, *pierwszy zeszyt* „**Czytelni Domowéj**," oraz **„Kalendarz ścienny,"** na rok 1870 z kolorowanemi illustracjami.

Wydawca, Mieczyński Adam.—w Druk. J. Jaworskiego.—Za pozwol. Cenzury Rządowej— Redaktor: Oskar Stanisławski